



MAJ 5 1881

MAŻ Z REZERWY

PRZEZ

Teodora Tomasza Jeża.



WARSZAWA,

w Drukarni Jana Jaworskiego.

ULICA KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE NR. 415.

1867.

<http://pbc.uj.edu.pl>

Дозволено Цензурою.

Варшава 25 Октября (6 Ноября) 1866 г.

Старшій Цензоръ, А. Вальдъ.



I 3654

Piotr się ożenił nareszcie. Całe sąsiedztwo nie mogło się mu nawinszować. I on sam sobie winszował, ale tylko przez trzy miesiące. Po trzech miesiącach pożycia małżeńskiego zrobiło się mu smutno, po sześciu jeszcze smutniej. Wzdychał i mruzczał pod nosem:

— Ej, szkodaż mi moich kawalerskich czasów!..

Po roku już nawet nie mruzczał. Salusia na gorącym złapała go uczynku i zmyła mu głowę co się nazywa.

— Trzeba się było ze mną nie żenić!.. Nie prosiłam cię... nie łapałam... Włóczyłeś się za mną przez lat dwanaście... I dopiąłeś swego...

Prawda. Przez całych lat dwanaście starał się pan Piotr o pannę Salomeę.

Onego czasu ona miała lat ośmnaście, on dwadzieścia sześć. Gdy ślub brali, ona miała lat dwadzieścia i jeden, on trzydzieści ośm. O fenomenie

tym wspominał nawiasem, pozostawiając go do wytłumaczenia fizyologom i psychologom. Pan Piotr był przekonany, że nie stało się nic nadzwyczajnego, że porządek natury tego wymaga, ażeby mężczyzna, był starszym od kobiety, raz o lat ośm, drugi raz o siedmnaście. Mężka jego powaga nawet na tém zyskiwała.

— Młodą mam żonę...—mówił wszystkim swoim przyjaciółom i znajomym, nie widząc szyderstw w uśmiechu, jakim mu przyjaciele i znajomi na te wyrazy odpowiadali.

— Młodą mam żonę... mówił sam do siebie a to dla tego, że od pierwszej chwili poznania panny Salomei, nie dostrzegł w niej żadnej zmiany, ani zmarszczka na czole, ani unniejszenia blasku w oczach. Zawsze jednakowa. Ta sama twarzyczka gładka, owalna, oświecona czarnymi oczami i uwieczniona czarnymi grubemi warkoczami, ta sama udatna kibić, ta sama rączka mała i nóżka mała i ten sam uśmiech na karminowych ustach.

Poznał ją w teatrze. Ależ myślicie że w jednej ze stolic, albo w jednym z gubernialnych miast, albo też przynajmniej w mieście jarmarkami wsławioném? Gdzież tam!.. W jednym z najbardziej partykularnych partykularzy, w miasteczku K. na Pobereżu, do którego zablądziła wędrowna truppa i uzyska-

wszy pozwolenie od policyi, przylepiła na jednym z pięciu zajezdnych domów, ogromny arkusz z napisem:

Theater

w którym będą się pukażywali różne kumedyi

i

Tragedya i inny Sztukie.

Z tego napisu można sądzić o wartości trupy. Artyzm jej był jak dwie krople wody podobny do powyższej ortografii. W stajni przemienionej na teatr, aktorowie występowali przed publicznością, siedzącą na gołych deskach, które były wszystkie jednakowe i tylko różniły się tem, że dwie ławki najbliżej sceny umieszczone, nosiły nazwę pierwszych miejsc, trzy następne drugich, a cztery ostatnie trzecich. Miejsce próżne za ławkami, nazywało się parterem. Za pierwsze miejsce płaciło się dwa złote od osoby, za drugie miejsce czterdzieści groszy, za trzecie dwadzieścia, a za parter dziesięć.

O tych szczegółach wspominać dla tego, ażeby powiedzieć, że pan Piotr, który w owym czasie dostał był we władanie swoją część w miasteczku K., gdy mu przyniesiono afisz, ani chwili się nie zaważał nad tem, które wziąć miejsce. Zapłacił dwa złote i wybrał się do sąsiadów z wiadomością: że będzie w teatrze.

W miasteczku było kilkanaście części, pomiędzy którymi należąca do pana Piotra trzymała środek, to jest, nie była największą, ale też i nie najmniejszą. Ile części, tyle było szlacheckich dworków, a w każdym p. Piotr mile był widziany, a to dla téj przyczyny, że w statystyce K., w rubryce panien na wydaniu, stała cyfra równa ilości dworków. Z tego konkluzya taka, że każda panna radaby, jeżeli już nie wydać się za pana Piotra, to przynajmniej zaliczyć go do zastępu hołdowników. Każda przeto wabiła go oczkiem, uśmiechem i tym głosikiem, w którym dzwoni coś, nie dającego się wypowiedzieć — coś przepiórczego.

Pan Piotr zaś, ze swojej strony, właśnie przed tém nim aktorowie przybyli do niego z afiszem, powiedział był sobie:

— Trzebaby się ożenić...

Problemat ten mocno jego umysł zajął i tak go moralnie znękał, że potrzebną mu stała się rozrywka. Skorzystał więc z okazji, kazał sobie osiodłać konia i ruszył z afiszem w kieszeni od dworku do dworku, w przekonaniu że wielką wiezie nowinę.

Jednakże gdzie przyjechał, wszędzie zastał już afisz i wszędzie wybierano się „na komedję.” To go, że tak powiem, zdekoncertowało. Drobne niepowo-

dzenie stało się powodem, że żadna z jego sąsiadek nie natchnęła mu myśli:

— Warto by się z nią ożenić...

Objechawszy tedy sąsiedztwo, wracał do domu z niczem, albo raczej nie z niczem, bo z ćwiekiem we łbie, którego nie wyjęła żadna Klaruńcia, Kasiunia ani Malwinka. Dojeżdżając do grobli, patrzy:

— Co u licha! jakiś kocz i jakieś panie...

Grobla w K. była taką, jaką zwykle bywa w kolokacyach. Przejeżdżać przez nią trzeba było z największą ostrożnością, ale i ostrożność nie zawsze ustrzedz była wstanie od wypadku. Ostrożnym był włościanin, który jechał z sianem, a pomimo to, os mu się u wozu złamała, wóz się wywrócił i sformował na środku grobli barykadę. W tej chwili z przeciwnej strony, nadjechał powóz i musiał się zatrzymać. Furman krzyczał na chłopca i batem mu groził, lecz to nic nie pomagało. Panie wysiadły z powozu i jedna z nich krzyczała na furmana i groziła mu batogami, ale i to także nic nie pomagało. Chłop się w głowę skrobał. Siano groblę nieprzebytą zawałiło barykadą, której objechać nie było sposobu, a do obejścia, trzeba było leżeć przez wóz. Wieczór się zbliżał. Sądząc po pakunkach, uwiązanych za powozem, i na powozie i wyglądających w kształcie

pudeł i pudełek z powozu, podróżne musiały jechać z daleka.

Pan Piotr przyjechał i zatrzymał się—zatrzymał się i patrzy.

— Panie—rzekła starsza pani, ujrzawszy jeźdca z waszecia wyglądającego—niech no pan patrzy...

— Ta ja patrzę... odpowiedział pan Piotr.

— Aktualnie... Co za wypadek!.. Nie ma sposobu przejechać...

Pan Piotr ramionami wzruszył.

— Wywrócił siano na środku grobli i nic sobie z tego nie robi... Aktualnie, co to za zuchwały człowiek!..

— To nie człowiek, pani dobrodziko... to mój poddany...—odrzekł pan Piotr.

— Ach! panie dobrodzieju... podchwyciła pani— Aktualnie... bardzo mnie to cieszy!.. Niech-że pan dobrodziej będzie łaskaw każe swemu poddanemu, jak najprędzej uprzątnąć siano!..

— Hej! słuchaj no!..—huknął pan Piotr na chłopca— a zwijaj się tam!..

Lecz i rozkaz pana Piotra nie na wiele mógł się przydać. Chłop widłami odrzucał siano, ale drogi nie otwierał, położenie bowiem było takie, że trzeba było wydobyć najprzód wóz, potem os naprawić, w końcu siano na wóz włożyć i odwieść. Wszystko

to wymagało przynajmniej dwóch godzin. A tu wieczór się zbliżał.

— Niechże pan dobrodziej będzie łaskaw aktualnie dopilnuje tego chłopca...—mówiła pani.

— Pani dobrodziejko, on siana w wodę zrzucić nie może... odpowiedział pan Piotr.

— A niech sobie zrobi z niem co chce, byle można było przejechać, bo mi się aktualnie spieszy...

— Przejsć, pani dobrodziejko będzie można; ale na przejechanie trzeba poczekać...

— Cóż to za nieznośni ci chłopci!.. odezwał się srebrzysty głosik, który pana Piotra po sercu draśnął.

Obejrzał się i popatrzył. Jeszcze ruszały się zachwiane wymówionemi wyrazami koralowe usta drugiej pani, młodej, kształtnej i jak się panu Piotrowi wydała, zachwycająco pięknej.

— Jak mamę kocham, ciągnęła ta pani, nam tak spieszo!...

— Aktualnie...—dodała starsza.

— Mamy jeszcze trzy mile drogi przed sobą...

— Aktualnie.... — powtórzyła starsza.

— A jeżeli przyjdzie i czekać, póki siana ten niegodziwy chłop nie sprzątnie, to chyba trzeba będzie w K. nocować...

— Aktualnie... — potwierdziła starsza.

— Nocować w K.?... Mój Boże!... Co za nudy!... A mogłybyśmy wygodnie zaciągnąć jeszcze na noc do siebie, do B...

— Pani z B.?... odważył się zapytać pan Piotr.

— Z B... panie... Jeździliśmy do ciotki R...skiej... i teraz wracamy... i tylko już nam trzy mile pozostaje...

Pan Piotr chrząknął, mimowolnie spojrzął po sobie, zsiadł z konia, odszedł trochę na stronę, znów chrząknął i podchodząc do podróżnych pań, przemówił:

— To mnie bardzo jest miło, że taki nadzwyczajny wypadek jak wóz z sianem, dał mi sposobność dostąpić tego zaszczytu, poznać panie dobrodziejki.. Ja mam honor rekomendować się paniom, jestem Piotr P...ski.

— A?... aktualnie?... zawołała starsza pani. Mama pana dobrodzieja była mi dobrze znaną...

— Ach! moja mama... Umarła biedaczka... Zaszkodziła jej kutia na wigilję Bożego Narodzenia...

— Dobra to była kobieta... aktualnie.. Świeć, Panie, nad jej duszą... Ale, jak by tu przez tę groblę przejechać?...

— Hej! a prędkiej no tam!... — huknął pan Piotr powtórnie na chłopa, który wciąż odrzucał siano.

Lecz hukanie nie zdało się na nic. Jeden czło-

wiek mógł zrobić tylko tyle, na ile siły mu pozwalały.

— Więc nie ma rady!... — zawołała młoda pani. Trzeba będzie nocować w K. i... nudzić się...

— Aktualnie... — rzekła starsza pani. Spodziewam się jednakże, że od nudów uchroni nas pan Piotr, przez pamięć na znajomość z nieboszczką jego mamą...

Pan Piotr uklonił się i zmieszał.

— Aktualnie, panie Pietrze, bez ceremonii zapraszam pana na herbatę.... I oto, bez ceremonii prezentuję panu, aktualnie moją córkę, Salusię....

Pan Piotr znów się uklonił i po chwili odparł:

— Bardzo by mi było przyjemnie.... ale.... tylko... że... muszę iść do teatru...

— Do teatru?!... — zawołała panna Salomea.

— Kupiłem bilet... będzie kumedia... Bilet kosztuje dwa złote, na najpierwsze miejsce... Na drugie czterdzieści groszy, na trzecie dwudziestówkę, a na ten, jak się nazywa, panter, tylko dziesiątaka... Ale na panterze będą sami żydzi... Ja będę na najpierwszém miejscu... Zapłaciłem dwa złote, to muszę iść do teatru i dla tego, nie będę mógł służyć paniom na herbatę...

Przez ten czas panna Salomea patrzyła na matkę pełnym wyrazu wzrokiem.

— Aktualnie?... — odezwała się pani, gdy pan Piotr skończył. Będzie teatr?... Cóż na tym teatrze będą grali?...

— Komedya, pani dobrodziejko, pod tytułem: Barbara Radziwiłłówna trajedia przez Aloizego Felińskiego... — odrzekł jednym tchem.

— O, moja kochana mamó!..—podchwyciła panna Salomea, jak mamę kocham! musimy pójść na Barbarę Radziwiłłównę.. Stryjaszek tak często o tej Barbarze wspomina i całe ustępy na pamięć deklamuje...

— Ileż, aktualnie, kosztuje bilet?...

— Dwa złote na pierwsze miejsce, a na drugie czterdzieści groszy, a na trzecie...

— Aktualnie... Pójdziemy do teatru... Pan Piotr będzie łaskaw zaopatrzyć nas w bilety...

— Bardzo dobrze... —podchwycił Piotr—a w jakie?... w te co po dwa złote?...

— Naturalnie...—odparła panna Salomea.

— I assistować nam...—ciągnęła pani R..—a po teatrze zajść do nas na herbatkę...

— Bardzo dobrze!...—zawołał pan Piotr i powiedział do siebie:

Dwa bilety po dwa złote, to cztery złote, cztery a dwa to sześć...

A podnosząc głos dodał:

— Ale trzeba się śpieszyć... Za pół godziny zacznie się kumedyja...

— Trzeba się śpieszyć!... —zawołały jednogłównie obie panie i po krótkiej naradzie, zdecydowały się udać piechotą do domu zajezdnego, przebrać się i pójść na teatr. Do przebrania się potrzebne były walizy i pudełka, któremi objuczono chłopca od siana, lokaja, pana Piotra i jego konia. Całe towarzystwo z grobli, przeniosło się do Szmula i tam się rozdzieliło. Pani R., panna Salomea i lokaj pozostali, chłop wrócił do siana, a pan Piotr cwałem popędził do siebie.

Pana Piotra jakby coś raptem ukąsiło, taki się zrobił niespokojny. Ubierał się, a ręce mu drżały. Kamzelkę wziął nawywrót i chustkę zapomniał na szyi zawiązać i byłby poszedł z gołą szyją, gdyby był w zwierciadło przypadkiem nie spojrział. Na włosy włożył pomady tyle, że aż mu po skroniach i karku pociekło. Ambry pół buteleczki rozlał na podłogę.

Panie przebierały się w zajezdnym domu z całą zimną krwią. Szmulowa, kobieta poważna i tłusta,

przyszła powitać panią R., i ta wdała się z nią w rozmowę o panu Piotrze.

— To bardzo porządny człowiek... mówiła Szmulowa, z kródką i z główką... Jego częśćka nie taka to wielka, ale większa od wielkiej, bo nikomu nic nie winien... Jego tu wszyscy żydzi szanują...

— A nie myśli się aktualnie żenić?...

— Albo ja wim, co wun myśli!... Za niego by każda panna chciała, ale może wun nie każdą chce..

— Aktualnie, tego Piotrusia trzebaby apriwozować... — rzekła pani R. do córki, gdy Szmulowa je opuściła.

— Kiedyż monstualnie głupi!.... — odrzekła panna.

— Moje dziecko!.. W małżeńskim pożyciu, głupi często więcej wart niż rozumny... aktualnie...

— Niech mi mama pomoże rękawek zawiązać...

— Wyciągnij mi, Salusiu, kołnierzyk...

— Ach! jaki zmięty!...

— To nic, wieczorem ujdzie...

— Rękawiczka mi pękła...

— Aktualnie... ten Piotruś bardzo głupi...

— Monstualnie! moja mamoo...

— Ale, na męża?... hm...

— Powiada, że Barbara Radziwiłłówna komedya i wymawia kumedya!...

— E! aktualnie, na takie rzeczy uważać nie warto... hrabia Tyburey nic nie wie o Barbarze Radziwiłłównie i źle mówi po polsku...

— Ale wie o Marie Tudor i mówi z francuzka, nie tak z ekonomska... Nie powie komedya, ale nie powie kumedya: to co innego... Na tym znać człowieka z wielkiego świata, a ten cuchnie folwarkiem.. Jakie też mama zrobiła porównanie!...

— Moje dziecko... to porównanie, aktualnie, jest rażące, ale dla tego żeś jeszcze bardzo młoda...

Wtém na progu ukazała się wystrojona postać pana Piotra.

Panie, spojrzawszy na młodego człowieka, dobrze i kształtnie zbudowanego, który zgromadził na swoim ciele, kilka zapomnianych mód, nie mogły się od mimowolnego wstrzymać uśmiechu. Pan Piotr, chcąc się snadź podobać, wlaźł w obcisłe na strzemiączkach ceglastego koloru spodnie, wziął kamzelkę w żółte i czerwone pasy, z zielonemi manszestrowemi wyłogami i tabaczkowy surdut z fioletowym aksamitnym kołnierzem. Przy kamzelce guziki były z perłowej macicy, przy surducie duże rogowe, wyobrażające w płaskorzeźbowych odlewach różne zwierzęta, jako to: dziki, jelenie, zają-

ce, lisy, psy, konie i t. p. Strój uzupełniały pąsowe rękawiczki.

— A?... aktualnie, o wilku mowa, a wilk tu... Tylko cośmy o panu z wielkimi z Salusią mówiły pochwałami...

Pan Piotr się uśmiechnął, postąpił kilka kroków i ukłonił się.

— Pan taki grzeczny...: Prawdziwie, jak panu odwdzięczyć?... rzekła srebrzystym, wabiącym głosem panna Salomea.

— Czas już na teatr.. odpowiedział na to wszystko pan Piotr.

— Doprawdy?... Będziemy miały podwójną przyjemność: być na teatrze i z panem... odparła panna.

O pana Piotra komplementa obijały się, jak groch o ścianę. Przyjmował je z przyjemnością, ale sam nigdy zdobyć się nie umiał na powiedzenie jakowejś grzeczności.

— Ma pan bilety?... zapytała pani.

— A jakże... Zapłaciłem...

— A! aktualnie!... zawołała pani R.... Salusiu, trzeba panu Piotrowi wrócić dług...

— Ale, na co to?... pani dobrodziejko... Ja zapłaciłem... no...

— Ale, aktualnie, tak być nie może... Cudzego nie chciej, swego nie dawaj: takie u mnie prawo..

Ja aktualnie słyszałam, że pan oszczędny... Salusia także oszczędna... Ona kiedyś za złotówką cały dzień płakała... Salusiu, oddaj panu cztery złote, choć wiem, że to ci przykrość zrobi...

— Tylko trzy... podchwycił pan Piotr.

— Jakto! to pan nie wziął biletów na pierwsze miejsce?...

— A jakże! na pierwsze, ale jeden złoty wytargował... Powiedziałem tej co przy stoliku siedzi: jeżeli ja nie wezmę, to nikt nie weźmie... i oddała mi za trzy złote...

— Ach! jakże to doskonale!... Aktualnie, Salusia właśnie mówiła, że szkoda, żeśmy pana nie prosiły, ażebyś się pan potargował... Ale pan o tém i sam nie zapomniał... ♣

— Oho! jakże bym ja zapomniał!...

Panna Salomea zapłaciła dług. Pan Piotr schował trzy złote do kieszeni. Pani R. poleciła lokajowi przygotować herbatę.

I trójka nasza udała się do teatru.

Wrażenie, jakiego Piotr doznał w teatrze, nie da się żadnem opisać piórem. Chciwém okiem śledził każdy ruch aktorów, chciwém uchem chwytął każdy wyraz. Ruchy i wyrazy układały się w jego surowej, nieociosanej wyobraźni, w pewną charmonijną całość i otwierały przed nim całkiem nowy, przed-

tém nieznanym świat. W samej grze nie widział strony ujemnej, przerabiającej jedną z najtragiczniejszych tragedyi, na bardzo komiczną komedye. Nie raziły go: anachronizm w strojach, śmieszność w giestykulacyi, zupełne niezrozumienie charakterów, nicumiejętność deklamacyi; nie raził go sufler, głośno podpowiadający z wystawioną z budy głową; nie raziło go to, że królowa Barbara mizdrzyła się jak pokojówka, a król Zygmunt nie umiał swojej roli, a królowa Bona gadała jak pierwszoklässnik jednym tchem i jednym tonem. Nie raziło go nic. Zygmunt kochał i Barbara kochała. Pierwszy dla kochania gotów był poświęcić koronę, druga życie. To opanowało umysł pana Piotra i było dla niego owym nowym, nieznanym światem. I on wzorem króla Zygmunta pokochał, oczywiście pannę Salomeę, która w międzyaktach obwijala jego serce jakąś niby tkanką, złożoną ze srebrzystych wyrazów, złotych uśmiechów, jasnych spojrzeń i gorących westchnień.

On pokochał, ale sam o tém nie wiedział. Stało się to tak niespodzianie, że nie był w stanie zdać sobie z tego sprawy. Pierwszym objawem jego miłości był żal, że przyjął od panny Salomei zwrót długu. Trzy złote paliły mu sumienie. On, co tak lubił złotówki, po raz pierwszy w życiu uczuł do

nich coś nakształt nienawiści. Przy herbacie był milczący i zamysłony: myślał, jakim by sposobem oddać ten zwrócony dług. I wynalazł sposób. Wsunął trzy złote niepostrzeżenie do koszyczka panny Salomei i doznał uczucia takiego, jakby dobry spełnił uczynek. Pomyślał sobie, ona znajdzie i domyśli się...

Przypuszczenie, że się domyśli, niewysłowioną sprawiło mu przyjemność.

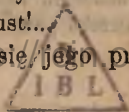
Pani R. i panna Salomea były nader dla pana Piotra uprzejme. Pierwsza mówiła mu w oczy, że jest „aktualnie” szarmanckim młodzieńcem, druga wywierała na niego magnetyczny wpływ. W ciągu rozmowy, której treścią był teatr, panna Salomea westchnęła i rzekła:

— Taka miłość jak Zygmunta Augusta jest dziś niemożliwą.... taka stałość jest niepodobną...

I znów westchnęła, a wzrok jój wbiegł w otwarte szeroko oczy pana Piotra, wświdrował się w nie i przeniknął aż do głębi serca. Pan Piotr spuścił oczy i zarumienił się jak dziewczyna. W sumieniu jego niejasno i niewyraźnie zadzwoniła, niby echo niezłomnego postanowienia, myśl:

— O, i ja potrafię tak kochać i tak być stałym jak Zygmunt August!...

Ta myśl stała się jego przewodniczą. Barbara



Radziwiłówna wywarła na jego życie, wpływ rozstrzygający.

Nie mam potrzeby dodawać, że pani R. zaprosiła go do B. i że on przyjął zaprosiny.

Pojechał, a pojechawszy wrócił po to, aby znów jechać. Znów wrócił i znów jechał.

B. było dla niego pewnym rodzajem akademii, jak dla niedźwiedzia Smorgonie. Czém dla niedźwiedzia rozpalone szyny, ¹⁾ tém dla pana Piotra była woskowa posadzka. Mógłby po niej nie stąpać, gdyby nie musiał, to jest, gdyby go coś nie ciągnęło, jak smorgończyka łańcuch od żelaznego kółka przez nozdrze przewleczonemu. Tém „coś” była stałość w miłości, do wyjawienia której zbierał się przez trzy lata.

Po trzech leciech od owego dnia, w którym w K. grana była Barbara Radziwiłówna, ktoby był poznał pana Piotra, temubym śmiało można ofiarować konia z rzędem. Zaszła z nim zmiana, która go innym uczyniła człowiekiem. On, co tak lubił rubelki, przestał je lubić; on co jeździł domowej roboty wózkiem, zaprzężonym parą własnego howu koźmi,

¹⁾ W smorgońskiej akademii niedźwiedzi wprowadzano na rozpalone szyny. Potrzeba podnoszenia nóg, uczyła ich tańczyć.

powożonych przez parobka, kupił kocz, cztery w szorach konie i przyjął stangreta i lokaja w liberyi; on co się stroił w suknie fabrykowane w K. przez Szlomeę, począł się ubierać w tużurki i fraki skrojone według ostatniej mody. Powodem całej tej zmiany, była miłość. Dla niej emulował z kolei ze wszystkimi, których podejrzywał o współubieganie się o serce panny Salomei i emulując, powoli otarł się, jak to mówią, w świecie, zrzucił starą miejscowej barwy skorupę, a przywdział kosmopolityczną. Zawsze jednakże w mniemaniu panny Salomei pozostał „monstrualnie głupi,” może dla tego, że jak pies ułożył się do posłuszeństwa i wierności.

— Moja mamo, jakież on monstrualnie głupi!...

Ta zwrotka powtarzała się nieustannie, a pani R. miała na nią zawsze jedną i tę samą odpowiedź:

— Aktualnie, głupi... ale na męża?... ujdzie...

— Chyba, iżby się trochę rozumniejszy nie znalazł...

— A.. to się rozumi!... Niech, aktualnie, pozostaje w rezerwie...

Rolą tedy Piotrusia była rezerwa. On kochał pannę Salomeę wiernie i stale, a panna Salomea starała się o męża, goniąc raz za tym, drugi raz za owym, których na drodze swego żywota spotykała.

Przysłowie powiada: „*ne rodysia krasny, ale szczu-*

sny.” Panna Salomea urodziła się *krasna*, ale jej szczęście nie sprzyjało. Pan Piotr był świadkiem kilku niepowodzeń, z których każde jej sprawiało boleść, jemu niewysłowioną radość i to podwójną, z podwójnej pochodzącą przyczyny, raz, że się spółzawodnik usuwał, powtóre, że nadarzała się mu sposobność, złożenia o jeden więcej dowodu stałości swego kochania.

— Kocham panią... wyjąkał pan Piotr przy pierwszym oświadczeniu, drżącemi ustami.

— Ach, panie!... kto w dziewiętnastym wieku kocha?... odrzekła panna Salomea.

— Ja, pani!... ja!.. zawołał Piotr z zapalem— ja!.. i uderzył się dłonią po szerokiej piersi — jak Zygmunt August Barbarę i jeszcze lepiej, bo Zygmunt August kochał żonę... A to nie sztuka: kochać żonę?... być stałym żonie?... Och! ja!...

Biedny, nie śmiał wymówić: gdybym był twoim mężem. Być jej mężem? — wydawało się mu wówczas jeszcze czemes, czego się trzeba było dosługiwać.

— Taka miłość... jest niepodobna... rzekła panna półgłosem i westchnęła.

Westchnienie jej było głębokie, smutne. P. Piotr mało że się nie rozplakał.

— Moja miłość jest taką.... panno Salomeo!....

taką, dalibóg że!... taką, przysięgam Bogu!... taką....

Panna Salomea spojrzała mu w oczy wilgotnym wzrokiem.

— Czy mnie pani wierzy?...

Nie było na to pytanie odpowiedzi.

— Czy pani chce dowodów?...

I to pytanie bez odpowiedzi pozostało. Panna Salomea wydawała się być głęboko zamysłona.

— Pani!... niech mi pani powie słówko... jedno słówko... błagał pan Piotr drżącym głosem.

— Jeszcze, nie czas... była odpowiedź tajemniczo, półgłosem wymówiona.

— Nie czas?... rzekł Piotr sam do siebie — kiedyż będzie czas?... Ona ma lat ośmnaście, (panna Salomea przez cztery lata nie wychodziła z ośmnastu), ja dwadzieścia dziewięć... kiedyż będzie czas?... Ale, ponieważ ona mówi, że nie czas, trzeba czekać...

Więc czekał i służył. Rodzaj jego służby trudno zdefiniować. Był wykonawcą wszelkich jęj kaprysów: był więc niby parobkiem, niby lokajem, niby plenipotentem, niby powiernikiem, niby *cavaliero servanto*. Pełniąc swoje przeznaczenie, dowiedział się o różnych familijnych rodziny R. tajemnicach, któreby najodważniejszego zraziły, między innymi i o tém, że posag panny Salomei równał się zeru. Lecz był on odważniejszym od najodważniejszych. Nie tylko

niczém się nie zrażał, ale ile razy pani R. zapukała do jego szkatuły, ta się zawsze otworzyła i wypróżniła. Dla pani R. był pan Piotr dojną krową, dostarczającą jej środków do ratowania interesów, ile razy te przez kredytorów były zagrożone i utrzymania domu na przyzwoitej stopie. Co roku więc, płacił pan Piotr kontrybucyę kilkaset rubli wynoszącą, która szła na rachunek następujących wierszyków:

„Gdybyś ty była moja, wszystkie bym ci skarby
Powietrza, wody, ziemi podesłał pod nogi.”

Jednego tylko żałował, a to, że nieboszczyk ojciec, taki mały zostawił mu w spuściźnie majątek.

— Jaki pan dobry!... mówiła mu panna Salomea po każdym złożeniu kontrybucyi.

-- Moja mamó, jakież on głupi!... mówiła w tejże samej okazyi do pani R.

On odpowiadał westchnieniem, a pani R.:

— Aktualnie, głupi.

Otwarcie się przyznaję, że nie podzielałam zdania tych pań. Pan Piotr dawał, a dając dogadzał sobie. Jakież on był szczęśliwy samą myślą, że przysłużył się panie Salomei! Płacił więc za szczęście: a ileż to ludzi, nie szczęście, lecz tylko urojoną przyjemność daleko drożej oplacają, a przecie nie zasługują na nazwę głupich!.. Głupszymi od niego są ci, co kupują przyjemność za pieniądze, czas i zdrowie.

On dawał same tylko pieniądze, za które kupował sobie szczęście bez granic, raj na ziemi, który mu świecił w uśmiechach nadziei, szepcącej mu do ucha:

— Ona mnie pokocha...

A ona o tém ani myślała.

— Moja stałość ją wzruszy...

A dla niej ta stałość była nie czém inném tylko rękojmią, że nie zejdzie z tego świata w staropanińskim stanie. Mając męża w rezerwie, tém śmiej i pewniej starała się o męża, używając pana Piotra, to jako postrach, to jako podniecie, to jako parawan, a niekiedy nawet, jako szermierza stawającego w obronie jej honoru. Pan Piotr był głupi, lecz nie dla tego, że pieniądze dawał, ale, że nie umiał poznać się na śmieszności roli, w jaką się ubrał.

Panna Salomea nie kochała go i nie mogła kochać, ale mu tego nigdy nie powiedziała. Przeciwnie, ile razy ta materya pomiędzy nią a nim na stół się wytaczała, wzdychała, oczy wilgocią napelniała, serce dłonią przyciskała i ukazywała w perspektywie światelko, do którego biedny Piotrzysko uśmiechał się, jak dziecko do cacka. Naprzykład, mówiła:

— Jeszcze nie czas...

— Czekałmy... odpowiedział sam sobie p. Piotr, czas przyjdzie...

Albo też rzucała mu do rozwiązania zagadkę:

— Moje serce pokutuje...

On nie rozumiał co by to oznaczać miało, ale pocieszał się następującem rozwiązaniem:

— Pokutuje?... przepokutuje...

Wciąż się spodziewał i od czasu do czasu powiadał.

— Kocham...

Chwila, w której ten wyraz wymawiał przed p. Salomeą, była dla niego wielce uroczystą — była świętem jego serca. To też nie wymawiał go przed nikim więcej, a nawet, kiedy o nim myślał, myśli nadawał pewien modlitewny nastrój — zawijał ją jak chryzalidę w barwne obsłonki i w głębi piersi chronił. I był taki pokorny, taki cichy, taki maluczki w obec pani swego serca, iż aż żal brał patrząc na niego. Ale takim pokornym, cichym, maluczkiem, był tylko w obec niej. Po za sferą jej osoby był ponury i milczący, lecz jak brytan, warcząc i zęby pokazując. Nie pozwalał nikomu mówić przy sobie o pannie Salomei, a jeżeli jaki zuchwalec ośmielił się zakaz ten zgwałcić, spytlował go na otręby. Coś podobnego przytrafiło się niejakiemu Guciowi, który przy pannie z R. przez jakiś czas

się kręcił, a że posiadał wieś dużą i czystą, był przeto jednym z tych, o których się ona starała. Ten o tém staraniu mówił otwarcie, z rozmaitemi przytém dodatkami. Opowiadał z humorem historię romansu, który się nie skończył, dla tego, że jak mówił:

— Stchórzyłem mości dobrodzieju i drapnąłem... i... „wszystek zakład odebrałem, ale miłej nie dostałem”... Czyli, tłumacząc to dobrą prozą: nie dałem się złapać?...

Przy takim opowiadaniu, razu pewnego, Piotr był w zamysleniu, nie dosłyszał więc i nie wiedział o kogo właściwie chodzi. Lecz gdy Guccio zakończył „nie dałem się złapać”, pan Piotr zapytał:

— Komuż?....

— Salusi, mój Piotrusiu...

Piotr zamarantowiał, zerwał się i całą siłą płuc wrzasnął:

— Łżesz!...

Na towarzystwie — a było liczne i wyłącznie męzkie, działało się to bowiem na pewnym jarmarku, wykrzyknik ten zrobił przerażające wrażenie, Guccio wszakże się nie przeraził. Z najzimniejszą w świecie krwią, zapytał Piotra:

— Chcesz dowodów i świadków?....

— Niczego nie chcę!... odparł zapytany — tylko, zakazuję ci jęj imię wymawiać!...

— Tylko?!... rzekł Guccio, i zwracając się do towarzysztwa, wypowiedział głośno i dobitnie:

— Karolowi, Tyburcemu, Julkowi, Bolkowi (wylńczył jeszcze kilka imion) i mnie, panna Salomea R. przysięgała dozgonną miłość i tęg miłości dowody... złożyła....

Pomiędzy dwoma ostatnimi wyrazami, zaszła pewna przerwa, a to dla tego, że Piotr skoczył ku Gucciowi, wyrócił krzesło i sam runął na podłogę. Zerwał się groźny, straszny, wściekły. Chciał rzucić się na zuchwalca, lecz obecni nie dopuścili. Rzecz zakończyła się pojedyńkiem, który nie spowodował ani śmierci, ani kalectwa, ani nawet krwi rozléwu, a tylko spopularyzował w okolicy imię panny Salomei. Dowiedziano się o wszystkich jęj tajemnicach, zważono wszystkie jęj zalety, obliczono dokładnie jęj lata i posag. Dowiedział się o tem cały powiat, a nawet sąsiednie powiaty. Panna przed publicznością stanęła nago — odartą z tego, co jest najdroższym skarbem kobiety i najpiękniejszą ozdobą: z dobrej sławy.

I zrobiło się koło niej pusto. Nawinał się jeszcze jakiś student na wakacyach, młodszy od niej o lat dziewięć, który dał się uwikłać, ale ten poprzestał

na bagateli — na „gorącym pocałunku”, który mu „wypalił czoło” — do tego pocałunku napisał sonet, sparafrazowany z „Pocałunek jej, ach nektar boski!” etc. — i na drugie wakacye nie powrócił.

Panna Salomea osamotniała.

Napróżno „kochana mama” objeżdżała znakomitsze w okolicy jarmarki; napróżno wyprawiała się na wszelkie odpusty; napróżno regularnie uczęszczała do kościoła i po mszy, ze spuszczonego wzrokiem, defilowała przed lustrującymi płec piękną amatorami. Wszystkosie na nic nie przydało. Dwa lata opuszczenia przekonały ją, że albo się trzeba wyrzec nadziei na stan małżeński, albo, jak powiadała matka „aktualnie, przyszła kolej na Piotra.”

Nim jednakże do tej ostateczności przyszło, pod dachem dworu B. odbyła się straszliwa scena, która się wywiązała niechcący, z niczego. Panie były same i rozmawiały, powtarzając tysiące razy powtórzony przegląd mężów *in spe* panny Salomei. Z rozmowy wypadło, że pani R. zakonkludowała:

— Chwała Bogu, że się przynajmniej ten Piotr pozostał....

Panna Salomea nic zrazu nie odpowiedziała. Lecz po chwili milczenia, raptem spazmatycznym wybuchła płaczem. Rozdzierające jęki wydzierały się

z jej piersi — rwała sobie włosy, — zaciśniętem i kulkami biła się w piersi i skronie.

— Aktualnie, nie pojmuję ciebie... — powtarzała przerażona matka.

— Ale ja pojmuję moje położenie!... odparła córka — Położenie, którego sprawczynią jest mama!... nikt tylko mama!... o, mama!....

— No!.... masz tobie!... aktualnie.... tegom się nie spodziewała... Ja jej niebo chciałam przychylić...

— Niebo?... oj!... niebo?... dla którego mama wynalazła pana Piotra....

— O! aktualnie?... alboż przez to zrobiłam co złego?...

— Nie złego, tylko ten dureń, ten ekonom, ten parobek, ten... sum!... siedząc przy mnie, odstraszał ludzi...

— Nie bądź że głupia!.. zawołała matka — Gdyby nie ten dureń, nie ten parobek, to wiesz, co aktualnie byłoby się z nami stało?...

— Co?....

— Oto, aktualnie, nie miałybyśmy dachu nad sobą!... nie byłoby za co trzewików kupić!...

— Tak?.... to pan Karol, pan Tyburcy, pan Julian, pan.... (tu wysypała całą litanję panów) przez niego odstraszeni, nie zdobyli by się nawet na trze-

wiki?... Och! mamó!... jeżeli jestem nieszczęśliwą, to za moje nieszczęście, mamie podziękować!.. Och!...

Tu głos podniosła do najwyższej potęgi, oczy się jej zaiskrzyły, pięści zacisnęła i tak dalej ciągnęła:

— Niech mi się tylko ten Piotr na oczy nawinie!

— Cóż mu zrobisz?...

— Co?... w oczy mu plunę!... twarz mu podrapię!..

Turkot na podwórzu oznajmił przyjazd gościa. Panna Salomea wyjrzała oknem.

— Otóż znów on! zawsze on!! tylko on!!! — zawołała w rozpaczy.

— Aktualnie, spodziewam się, że nie będziesz głupią.... — powiedziała prędko matka i natychmiast potem z uśmiechem na ustach, witała pana Piotra i o zdrowie go pytała.

Pan Piotr był jak zwykle, rozkochany i szczęśliwy. Przez lat dwanaście tak się wprawił do swego szczęścia, że o inném ani marzył. Miłość jego jak na dziewiętnasty, pomawiany o materyalizm wiek, była nadzwyczajną. On jednakże nic w niej nadzwyczajnego nie upatrywał. Wydawało się mu, że taką być musi i inną być nie może i nie powinna. Spodziewał się, że go kiedyś panna Salomea pokocha i ta nadzieja, najzupełniej mu wystarczała. Wyglądając spełnienia jej z dnia na dzień, czekał i sprawdziło się na nim to, co poeta powiada: „kto czeka, lata cze-

kaniem ukraca.” Dwanaście lat ubiegło mu jak jedna chwila. Od czasu do czasu przypominał pannie Salomei, że ją kocha — i na tém koniec. O ożenieniu jeszcze nie pomyślał.

Spostrzegłszy ślady płaczu na obliczu swojej ukochanej, doznał czegoś jak rozrzewnienie. Serce mu się ścisnęło.

— Ona płakała.... pomyślał sobie — Czego ona płakała?... Czego jej potrzeba do otarcia łez?...

I bijąc się z myślami, które mu przeszkadzały rozmawiać swobodnie z panią R., postawił sobie następujące pytanie:

— Może ona potrzebuje pieniędzy?... Mało już mam... ha!.... ale, trzeba będzie dostać.... pożyczę... Zboże na pniu sprzedam... Cóż robić!....

— Pani R. wyszła. Pan Piotr pozostawszy sam na sam z panną Salemeą, ośmielił się rozmarzonym zapytać głosem:

— Czego Pani płakała?....

— Och! panie Piotrze... — była odpowiedź.

— Czy pani mi nie ufa?...

— O! panie Piotrze..... Zkądże takie przypuszczenie?....

— Pani płakała....

— O! i ciężko... Bo też ja bardzo nieszczęśliwa....

Tu łzy zakręciły się jej w oczach i popłynęły po policzkach. Zakryła oczy chustką.

— Pani!.. zawołał Piotr do głębi wzruszony. Panno Salomeo!... Czego pani płacze?... Powiedz mi pani... Pytam się nie dla prostej ciekawości, ale dla tego że... (tu się począł trochę jąkać, bo mu stanęła raptem w oczach cała okropność długów na mająteczku) chciałbym zaradzić... chciałbym dopomódz....

— Och! panie Piotrze... pan taki szlachetny... — przerwała.

— Niechże mi pani powie: czego pani płakała?... czego pani płacze?...

— Płacę, bo (tu chustką oczy zasłoniła i cichym wyszeptaną głosem) kocham...

Pan Piotr przestraszył się. Zbladł jak chusta. Sta-
nęło mu w myśli zapytanie: kocha?... kogo?..

Lecz panna Salomea na to zapytanie, w sposób niewątpliwy odpowiedziała. Odjęła chustkę od twarzy i w łzach skąpanemi oczami, spojrzała w oczy panu Piotrowi, który od czaru tego spojrzenia, niby piorunem rażony, padł na kolana i oblicze jego oblało się wyrazem zachwycenia.

— Pani!... zawołał — pani!... ja już w rajul!...

Panna Salomea wyciągnęła do niego rękę, on ją z uniesieniem do ust przycisnął, a od ust przeniósł do piersi i na piersi jeszcze cisnął, a cisnąc i ciągnąc

pociągnął i pannę Salomee, która, opierając się, chyliła się, chyliła, aż dotknęła ustami czoła pana Piotra i musnęła je lekko pocałunkiem.

W tej chwili, tuż prawie nad uchem przeniesionego w siódme niebo, zadzwonił wyraz:

— Aktualne....

Pan Piotr się zerwał, bezprzytomny, zachwycony i jak człowiek na przebój się rzucający, zawołał:

— Pani!.... ja kocham i panna Salomea kocha!.. kocham! kocha!! kochamy się!!!

I znów padł na kolana, błagalny wzrok przenosząc na matkę i z matki na córkę. Te ze sobą zamieniły jedno przelotne spojrzenie, po czém pani S. nachylając rękę wyciągnęła i poważnym wyrzekła głosem:

— Błogosławie was moje dzieci i niech was Pan Bóg błogosławi...

Wkrótce potem nastąpił ślub, a po ślubie trzy miesiące upojenia a raczej oszałomienia dla Piotra a po trzech miesiącach długie, piekielne życie, które zamieniło mu dwunastoletni raj.

KONIEC.

alic. 78/

556
http://rom.org.pl







I 3654

<http://rcin.org.pl>

I

3654